

Nr. 4. Poznań, dnia 25 Stycznia 1879. Rok II.

KLARA.

Powieść

Pauliny z L. Wilkońskiéj.

(Ciąg dalszy.)

— Jest tam pan jeden i oddał ten bilet — wymówił lokaj Wojciech, wchodzący do salonu i oddał panu Lucyanowi kartę wizytową.

Klara odłożyła romans francuzki, podniosła się z kanapy i przeczytała przez ramię męża: Hilary Krupnicki.

Klara już zamarzyła, że to może będzie bohatyr jaki *à la Bastignac*, chociaż to nazwisko nie szczególniéj brzmiało: ale czemżeż jest nazwisko?! — powiedziała sobie zaraz — i pod wałek kanapy szybko wsunęła romans Flauberta, który czytała właśnie: wstydził ją ten wybór.

Proś tego pana — rzekł Lucyan.

— Któż to jest? zapytała Klara.

— Szwagier obywatela z okolicy, Józefa Załędzkiego z Płomykowa. Poznałem ich wczoraj u mecenasa....

Wszedł p. H. Kr.; młody człowiek, dość wysoki, chudy, niezgrabny; twarzy bladéj, o wypukłych kościach policzkowych; z małemi szaremi oczami i słabym zarostem; był wyfraczony, w rękawiczkach jasnych — wyraźnie z pretensyą do elegancyi. Ale krawat czarny siedział mu krzywo, kołnierzyk podniósł się z jednéj strony, a z drugiéj obwisł; kamizelka wzorzysta także zadzierała się jakoś. Pokłonił się niezręcznie, chociaż tego widocznie uczył się od tancmistrza.

— Pan Hilary Krupnicki — żona moja — przedstawił gospodarz domu.

Gość ukłon powtórzył.

— Siadaj, panie, proszę — pan Lucyan wskazał mu fotel.

Pan Hilary usiadł, trzymając kapelusz oburącz i pokraśniał zlekka.

— Pan z téj okolicy? zapytała Klara uprzejmie, chociaż przytem pomyślała sobie: to jakiś niezgrabiasz, szlachciura!

— Nie, pani dobrodziejko — odrzekł, kręcąc kapeluszem — jestem z Raszek, w powiecie K.

— Pan tylko gościem w tych stronach — dopomógł mu Lucyan.

— Bawię od dni parę u siostry mojéj, pani Żołędzkiéj w Płomykowie.

— Pan Żołędzki już wyjechał? zapytał Lucyan.

— Tak, wczoraj jeszcze i spieszył do domu, ma młocków.... A mnie zostawił i miał z nami zaraz pojechać tancmistrz, bo dzieci siostry uczą się tańczyć, i zawiódł. Więc musiałem zostać. Jutro konie przyjdą po nas. Ale potrzeba go przypilnować, bo to człowiek niesłowny, i dla tego muszę czekać....

— Ale panu zapewnie czas tutaj schodzi przyjemnie — odezwała się Klara.

— Nie mam wiele znajomych. W Płomykowie mieliśmy polować....

— Toćże to jeszcze nastąpić może.

— Będę musiał tańczyć także i kontredansa w komplecie.

Klara ust przygryzła.

— Zapewne pan dziś będziesz w teatrze?

— O tak, bo i cóżby robić przyszło.

— A cóż dziś przedstawiają?

— Nie wiem, pani dobrodziejko, ale co bądź, to mi jedno.

— *Damy i huzary* — wtrącił Lucyan.

— To musi być zabawne.

— Pan nie znasz téj sztuki? Klara znowu ust przygryzła.

— Nie, pani dobrodziejko.

— Bardzo jest zabawna.

— Czytałeś pan już *Listy Odyńca?*

— Listy czyje, pani dobrodziejko!

— Odyńca, w *Kronice Rodzinnéj.*

Pan Hilary poczerwieniał, bo nie domyślił się, o co chodziło.

— Nie pani dobrodziejko — odrzekł.

— Są nieskończenie zajmujące i ciekawe a takie miłe!

— O tak, wierzę, pani dobrodziejko, listy przyjemnie czytać.

Klara niecierpliwie poruszyła nogą, że aż stuknął koreczek.

Po chwili powstał pan H. Kr. i trzymając kapelusz oburącz, pokłonił sie nasamprzód pani a potem panu domu.

Lucyan podał mu rękę — i kawaler o mało, że kapelusza nie upuścił. Szastnął się znowu, posunął się ku drzwiom niezgrabnie. Lucyan wyprowadził go do przedpokoju.

— Lucyanie! zawołała Klara, gdy wrócił, siadając na kanapę ze śmiechem — cóż to za figura zakazana!

— Dobre widać chłopaczysko, a nie jego wina, że takim wyrósł!

— I dla takich — to ludzi wydają czasopisma i drukują książki? O mizerya prawdziwa!

— Zamiłuje i on może z czasem literaturę krajową.

— Jesteś optymistą.... odrzekła i podjęła z pod wałka romans francuzki i znowu czytać zaczęła.

Wolała romans francuzki aniżeli polski — a wszakżeż tyle polskich i dobrych drukują? — Tylko, że nie tak drastyczne... i wszeteczne. A kto raz w ostréj i drażniącéj podniebienie zasmakuje potrawie — temu już nie do gustu zdrowa i pożywna

Wieczorem pp. Trzebiewscy byli znowu w teatrze. Klara zarzuciła śliczną białą, szczególniéj elegancką okrywkę i wpięła białą różę we włosy, i powiedziała sobie, spojrzawszy w zwierciadło: że wcale wdzięcznie i dystyngowanie wygląda.

Teatr się zapełnił, bo komedye Fredry zawsze ściągają publiczność.

W jednéj z loż ukazała się znowu piękna pani Wszemborska w otoczeniu trzech kawalerów: była czarowną w stroju czarnym i różach. Uśmiechała się, jak zwykle; rozmawiała na wszystkie strony i wachlarzem machała — lecz dziś białym ze złotem.

Naprzeciw loży Trzebiewskich zasiadł nadzwyczaj przystojny młody mężczyzna: z ciemno-płowym wąsikiem i hiszpanką, pełen elegancyi w ubiorze i ruszeniu każdém. Rozparł się niby obojętnie i czytał afisz. Powiódł lornetkę po lożach i postawił ją przed sobą. Klara niezmiernie była ciekawą i intrygował ją; ale męża zapytać nie śmiała — i też nie znał go pewnie. Przybrała wdzięczniejszą nieco wystudyowaną pozę, *vis-à-vis* popatrzyło na nią: znać zwróciła uwagę.

— Widzę mecenasa w krzesłach — poszepnął jéj Lucyan — muszę pójść na chwilkę do niego. Wrócę zaraz i wyszedł. *Vis-à-vis* skierował na nią w téjże chwili lornetkę i patrzał długo, Klara zmięszała się trochę, zapłonęła z radości, lecz patrząc na lewo, na prawo, to wznosząc oczy ku drugiemu piętru, to czytając afisz, — niby ani zważała, że jest przedmiotem czyjéjkolwiek uwagi.

Lucyan powrócił. Orkiestra zagrała. Rozpoczęła się sztuka. Po pierwszym akcie zajmujące *vis-à-vis* wyszło — i powiększyło dwór pani Floryny, która pięknego kawalera powitała podaniem ręki i uśmiechem powabnym i pogadanką ożywioną. Klara aż zazdrość uczuła; tam cisnęli się wszyscy — u niéj nikt się nie jawił!... Zobaczyła w krzesłach Hilarego Krupnickiego i gdyby on chociaż przyszedł! magnetyzowała go wzrokiem — ani się obejrzał; siła atrakcyjna okazała się żadną, bo Hilary wyraźnie był pieńkiem! — Żałowała, że mu nic nie mówiła, by ich odwiedził: niezgrabijasz ją raził. Lecz zawsze lepsze coś, jak nic. Gdyby pomiędzy drugim a trzecim aktem sprowadził go Lucyan!... Nie chciałby pewno — i jakżeżby mu o to mówić miała, wyśmiawszy niedowarzonego niby — eleganta. Wreszcie dostrzegła, że p. Hilary miał jakieś ciemne rękawiczki. Popatrzyła przez szkło: były nadto poprute, niespięte — *fi donc!*

Zaczął się akt drugi. Rzuciwszy z boku wejrzenie, zobaczyła interesujące *vis-à-vis* znowu na swojém miejscu.

„Będę z wizytą u pani Wszem.,“ strzeliło jéj w głowie, zapewne dom prowadzi miły, dużo u niéj bywa osób i wejdę w tutejszy świat elegancki. Zaraz jutro będę z wizytą.

Po drugim akcie zapytała męża:

— Łucku, gdzież państwo Wszem. mieszkają?

— W Nastajowie o dwie mile ztąd.

— Ależ tutaj, w mieście?

— Nie mieszkają wcale. Pani sama przyjechała na dni kilka... bawi się.

— Chciałabym się z nią poznać.

— Nie widzę tego potrzeby i też nie pragnę tego. Zresztą wyjeżdża ona podobno do Warszawy na karnawał.

Klara smutnie opuściła główkę. *Vis-à-vis* teraz nie lornetowało wcale; czyliż przestała go interesować?

— Chciałabym karmelek — wymówiła do męża.

— Przyniosę ci zaraz — i wybiegł poczciwiec.

Gdy drzwi loży zamknęły się za nim, lornetka z *vis-à-vis* skierowała się ku niéj. Klara nieskończenie zadowoloną była: wyraźnie nie chciał jéj przy mężu lornetować — a to było względnie. — Lucyan z karmelkami wrócił. Lornetka naprzeciw zaprzestała czynności i nie skierowała się w żadną stronę — i to zadawalało także.

Przedstawienie się skończyło. Lucyan włożył futro na żonę i baszlik, złotem haftowany. Podał jéj rękę i przeprowadzał wśród tłumu. Przy wschodach stał kawaler z *vis-à-vis*, zapinając paletot. Spotkały się oczy jego wymownie ze spojrzeniem Klary.

Lucyan go nie znał widocznie, ześli wśród schodzących tłumnie. *Vis-à-vis* szło za niemi. Klara wesolutka do powozu wsiadła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Listy z Rusi-Ukrainy.

IV.

Trzydziestego listopada 1878 roku obchodziła cała Ruś-Ukraina wielką narodową uroczystość: stuletnią rocznicę urodzin słynnego powieściopisarza swego Grzegorza Kwitki-Osnowiánenka (*Hryćko Kwitka-Osnowiánenko*). Zanim podzielę się z szan. czytelnikami „Lecha“ opisem uroczystości, jaka miała miejsce we Lwowie, Charkowie, Kijowie i Petersburgu, — sądzę że nie od rzeczy będzie podać niektóre szczegóły z życia tego naszego *„bat'ka otamána.“*

Hryćko Kwitka urodził się 18 *) listopada 1778 we wsi Osnowa w pobliżu powiatowego miasta na Ukrainie Charkowa i ztąd popisywał się na swych utworach *Osnowiánenko*. Pochodził z bogatéj szlacheckiéj familii: dziad jego i pradziad byli pułkownikami w wojsku kozackiem a ojciec *Fedir* był właścicielem wsi Osnowa. Z maleńkości był *Kwitka* ślepym i dopiero w 6 roku życia otrzymał napowrót wzrok w monasterze *ozeriański-m* podczas modlitwy swéj matki. Długo nie mógł sobie obrać zawodu w jakim by pracował do końca swego życia. Służył w wojsku, gdzie dosłużył się

*) Według starego kalendarza: według używanego wszędzie przypadają urodziny na 30 listopada.

rangi kapitana, był w monastérze 4 lata jakby z wdzięczności za otrzymany wzrok, wstąpił i w państwową służbę, gdzie był nadwornym radcą i do swéj śmierci przewodniczącym sądu karnego w Charkowie. *Kwitka* nie zapomniał i o tem, że jest członkiem społeczeństwa i że po narodowości należy do Rusi-Ukrainy: tu i tam zostawił bowiem cenne pamiątki godne swego wielkiego ducha. Za jego to staraniem i ofiarami założono w Charkowie „Instytut dla córek szlachty.“ Jako Ukrainiec okazał *Osnowianenko* bardzo wielką pracę i energię, gdy po założeniu wszechnicy w Charkowie (r. 1804) rozpoczął się żywy ruch literacki. Obok zajęcia przy szlacheckim klubie, miejskim teatrze, instytucie dla córek szlachty i wielu innych obywatelskich spraw, brał on także czynny udział w literackich wieczorkach i gazetach, a mianowicie w wydawnictwie pisma „Ukrainskij Wistnyk.“ Po 1830 r. obdarował Ruś-Ukrainę całym szeregiem ukraińskich powieści i utworów dramatycznych.*) Oto ważniejsze: „Marúsia“, „Serdészna Oksána“, „Dobre robý, dobre i bude“, „Kozýr-diwka“, „Perekotýpołe“, „Mertwećkyj wełýkdeń“, — „Sczyra lubów“ dramat w 5 aktach, „Swatáńńia na Honczariwa“ ukraińska operetta w 5 aktach i inne. *Osnowiánenko* lubił muzykę i teatr. Sam grywał na różnych instrumentach, mianowicie na flecie i pisywał nawet muzykalne kompozycye. W teatralnych przedstawieniach brał udział grając role komiczne. Ożenił się z kierownicą instytutu Anną Wulf: był wprawdzie bezdzietnym, lecz żył bardzo szczęśliwie mając dobrą, rozsądną i wykształconą żonę. Dom *Kwitki* był zawsze przybytkiem nauki i sztuki — a każdy, kto tylko poznał szlachetny i przyjaźny charakter gospodarza, musiał być dla niego z wielkiem uszanowaniem. Słabość, która była przyczyną śmierci wielkiego ukraińskiego literata, trwała tylko 11 dni. Umarł 8go sierpnia 1843. Pogrzeb odbył się z wszelką okazałością i wystawnością. Gubernator i drudzy wyżsi urzędnicy przy niezmiernym zgiełku narodu sami wynieśli trumnę z cérkwi. Nad grobem miał mowę profesor wszechnicy Ukrainiec *Sreznewśkyj*.

Utwory *Grzegorza Kwitki* a mianowicie jego powieści wyszczególniają się od innych ukraińskich powieściopisarzy żywym i wiernym opisem ludowego życia, domowego wychowania i szczęścia: jego powieści są tak czułym duchem owiane, iż człowieka mimowoli i siłą uwodzą w miejsca i okoliczności opisu i każą mu albo cieszyć się z szczérego serca, lub też płakać ze smutku i żalu. Potrafi *Osnowiánenko* także lekkim humorem swym czytelnika rozweselić i zabawić. Ale najpiękniejsza i najważniejsza własność jego powieści i w ogóle wszystkich utworów to ta, że wszędzie wypływa z nich jakaś praktyczna, rzeczywiście moralna nauka. Między wszystkiemi jego powieściami jest Marusia**) najpiękniejsza i najwznioślejsza tak myślami jak obrazami i obyczajnością: jest ona prawdziwie klasycznym utworem, który nie utraci nigdy swéj wewnętrznéj ceny; jest to kwiatek, który mógł tylko pod czystem niebem Ukrainy zejść, w wolnéj słowiańsko-ruskiéj duszy wychować się i zakwitnąć; jéj malownicze obrazy są jasnemi farbami tęczy w promieniach słońca a delikatne i rzewne opisy są jakby wonne kwiaty, zapełniające powietrze a moralna w nich wypływająca nauka jest najsłodszym miodem, najdroższym jéj sokiem, który może czytelnik jak pszczółka z kwiatów wysysać i niemi żywić się.... Nie mniéj w podobny sposób dałoby się powiedzieć i o innych jego utworach. To też już za życia zaczęli go Ukraińcy uważać i nazywać *baťko-m otamanem-m* swéj literatury, *Taraś Szewczenko* gwiazda przewodnia ukraińskiego narodu, poeta-kobzarz teraz ujarzmionego słowiańskiego szczepu napisał i poświęciwszy posłał mu prześliczną odę pod tytułem „*Do Osnowianenka*.“

Przystępuję do opisu wspomnianéj uroczystości. Zacznę od Lwowa, gdzie jako w konstytucyjnem państwie mogli Rusini-Ukraińcy dać zupełny wyraz swemu narodowemu uczuciu. Uroczystość stoletnich urodzin obchodzili w tém mieście: Ruski narodowy teatr pod dyrekcyą p. Teofili Romanowicz, starsi Rusini-Ukraińcy i młodzież akademicka w swém towarzystwie „*Drużnyj Łychwiar*“. Rozumie się samo przez się, iż wszyscy nie mogli obchodzić uroczystości we właściwym dniu t. j. 30 listopada. Ruski narodowy teatr, przesiąknięty na wskroś rusko-ukraińskim patryotyzmem, rozpoczął uroczyste chwile mające być poświęcone jednemu z najlepszych synów swéj opuszczonéj Ojczyzny. W sam dzień urodzin przedstawiono 5-aktową komedyę *Osnowianenka* pod tyt. „*Szelménko-najmyt.*“ Publiczność przybyła w tak wielkiéj ilości, iż sala teatru zupełnie była nabitą i z ogromną ciekawością śledziła grę artystów, która tego wieczora zasługiwała rzeczywiście na pochwałę. Po 5-tym akcie odśpiewał p. *Myszuga* (Ukrainiec) prześliczną pieśń wyjętą z utworu teatr. „Pidhirjane“ „*Moja Ola nad wsi diwy*“ a w końcu przedstawiono przy oświetleniu bengalskiém obraz z żywych osób: u góry muza wieńczy ławrowym wiankiem popiersie *Kwitki*, a niżéj stoją grupy osób przedstawiające sceny z utworów poety Marusia, Szczyra lubów i Szelmenko najmyt. Układ obrazu nadzwyczaj podobał się publiczności, która też nie szczędziła licznych oklasków. — Starsi Rusini-Ukraińcy urządzili 2go grudnia w sali Narodnego Domu muzykalną wieczornicę z odczytem. W program muzykalnéj części wchodziły utwory ruskich kompozytorów Werbyćk-iego „*Oj po hori po wysokij*“, J. Ławriwśkie-go „*Czom riczeńko domasznaja*“, „*Zaśpiwaj my sołowiju*“ i „*Proszczańńia*“ i Natala Wachnianyna „*Nasz raj*“, — daléj utwory słynnie znanego apostoła słowiańskiéj muzyki Czecha Słowianina Maksa Konopaska: „*Eléhia na smerť Kwitky*“ i „*Dońka*“ wykonane przez szanow. Autora, a w końcu i utwory Bethovena „*Symphonia G-dur*“, opierająca się na rusko-narodowych motywach, — utwory Doniccettego, Gunoda i Rubinsteina. Kompozycje Werbyćk-iego i Ławriwśk-iego odśpiewał chór męski galicyjskiego towarzystwa muzycznego. Najwięcéj podobał się publiczności utwór Wachnianyn-a i M. Konopaska, który wykonał swe utwory z werwą i prawdziwie artystycznym zapałem. Część drugą zajął odczyt słynnego ukraińskiego przyrodnika i poety *Iwan-a Werchratśk-iego* o życiu i pismach *Kwitki*. Sumiennéj pracy niestrudzonego profesora słuchała publiczność z prawdziwą przyjemnością. — Pomyślnie rozwijające się towarzystwo akademików-Ukraińców „*Drużnyj Łychwiar*“ urządziło znów 4 grudnia swém staraniem i kosztem znakomity koncert w wielkiéj sali ratuszowéj. Program muzykalny koncertu to wiązanka z ukraińskiéj narodowéj muzyki jak słusznie zau-

*) Zostawił też utwory wyłącznie treści moralnéj, religijnéj i inne.

**) Przetłumaczona na języki: rosyjski, francuzki i hiszpański.

ważyła „Gazeta Lwowska.“ Był tam klasyczny utwór pierwszorzędnego ukraińskiego kompozytora Mykoł-y Łysenk-i *„Zapowit Tarasá“* *„Szewczeńka“*, *) I. Morozenk-i, *„Ojczohó ty poczorniło“* Ławriwśk-iego *„Krasna zore“* i *„Czy to źwizdy“*, Szaszkewycz-a *„Bułá kołyś heťmańszczyna“*, utwory M. Konopaska, Mendelsohna, Arditiego i inne. Nie zapomniano o deklamacyach. Piękny ustęp z Szewczenki *„Łebedýn“* wygłosiła p, M. R. a niemniéj efektowny *„Háłycz“* K. Ustyjanowycz-a akademik M. K. Ostatni pięknem wygłoszeniem a prof. *Wachnianýn* pięknem wykonaniem tego solowego utworu *„Bułá kołyś*.....“ sprowadzili burzę oklasków. Z niemniejszą pochwałą wspomnieć należy i o chórach, które wykonali wcale dobrze członkowie towarzystwa. W ogóle koncert wypadł świetnie i publiczność z niekłamanem zadowoleniem opuściła salę. Niektóre numera musiały być powtórzone na bezustanne żądanie zebranych.

W Petersburgu 30 (18) listopada zebrali się podług tamtejszego zwyczaju w traktyjerni Pałkina-now, żyjący w tém mieście ukraińscy literaci, poeci, uczeni i patryoci na obiad. Z pomiędzy wielu wymienię *Mikoł-ę Kostomar-owa, Mordowc-owa, Danyłewśkiego, Borowykowśkiego, Żemczużnykow-a, Opatowycz-a, Czubynśk-iego i Rubc-a.* Damy též były obecne narodowéj uroczystości, która ze względu na to iż odbywała się pod bokiem cara, musiała przybrać taką formę o jakiéj wspomniałem. Podczas obiadu prof. *Kostomáriw* miał mowę, w któréj wspomniał o istotnych zasługach poety: następnie odczytano list prof. *Sreznewśkiego*, który wyrażał żal, iż nie może być obecnym uroczystości na cześć *Kwitki*, i — wypowiedział w bardzo serdecznych słowach za zgasłego to, „co mu powiedziała za niego pamięć jego serca.“ W ślad za tem *Danyłewśkyj* naprowadził ciekawe daty z życia i charakteru *Osnowiánenka.* Koroną wszystkiego była mowa *Mordowc-owa*, w któréj wzywał zgromadzonych, by wystąpili ze wszelkiemi możliwemi sposobami i środkami w obronie ojczystéj literatury, którą obecnie zakuto w kajdany wiadomego ukazu. Mowę przerywano grzmotem oklasków. Nie brak też było przemówień ze strony innych zgromadzonych. W końcu przeczytano patryotyczny telegram wysłany do Charkowa.

W Charkowie — w miejscu, gdzie po większéj części żył i działał *Kwitka* — świątkowali Ukraińcy rocznicę 27 listopada w galowéj auli wszechnicy. Sala była przepełnioną. Profesor literatury *Potebnia* miał odczyt, w którym wykazał znaczenie *Kwitki* w ukraińskiéj literaturze. Koniec odczytu przyjęto hucznemi oklaskami. Oprócz odczytu prof. *Potebni*, odczytano telegramy nadesłane do charkowskiéj wszechnicy z różnych miejsc Ukrainy jak z Kijowa, Niżyna. Połtawy, Żytomierza, Odessy, Saratowa i inn., i — z Petersburga. W tych telegramach pozdrawiano Charkowców świątkujących uroczyście pamięć wielkiego powieściopisarza, oświadczono gorący udział wszystkich synów Ukrainy w obchodzie drogiéj pamięci i wypowiedziano życzenie, by płody działalności *Grzegorza Kwitki* marnie nie przepadły a w końcu zawiadomiono o wysyłce pocztą składek na wydanie drukiem pism *Grzegorza Kwitki.* Przy wyjściu wszyscy obecni składali datki ze szczérą ochotą, które razem doszły do znacznéj sumy. Wieczorem urządzono w dramatycznym teatrze galowe przedstawienie na dochód szkoły imienia *Osnowiánenka.* Po przedstawieniu odczytano przed popiersiem *Kwitki* jego krótki życiorys.

*) Testament Tar-Szewcz.

W Kijowie odbyły się 30 listopada w tamtejszéj Kijowo-Sofijskiéj cerkwi panachida *) po zmarłym poecie i odpowiednia uroczystość w historycznem towarzystwie latopisca Nestora. Nasamprzód prof, literatury *A. A. Kotlarewśkyj* i przewodniczący towarzystwa poświęcił pamięci *Osnowianenka* kilka słów, w których wspomniał o jego zasługach i wezwał specyalnego referenta *Naumenk-ę* do odczytu. *Naumenko* podał bardzo ciekawe daty o życiu i działalności *Kwitki.* Odczyt był żywy, przyciągający i wywarł silne wrażenie na zgromadzonych. Publiczność słuchająca składała się z samych mężczyzn, gdyż dam nie dopuszczono na uroczystość,

Jak widać więc z nadmienionego Ruś-Ukraina godnie obchodziła pamięć stuletnich urodzin swego pisarza. Oprócz tego słyszelim, iż młodzież akademicka lwowska, na uczczenie pamięci przygotowywuje wydawnictwo obszernego życiorysu *Kwitki,* — które już w tych dniach ma być oddane do druku.

Wasyl Siczowýk.

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

Humoreska.

Napisał Tadeusz Zaremba.

(Dokończenie.)

— A teraz mnie posłuchajcie, — rzekł Karol. — Widzę dobrze, że niestety, bez pojedynku obejść się nie może. Sprawa zbyt ważna, aby ją puścić można było w niepamięć.

— Tak! Tak! mówili zapaśnicy.

— Pojedynek ma jednak swoje niedogodności, — ciągnął dalej Karol. — Ja wam zaproponuję co innego. Idźcie z sobą w zapasy, ale tak jak się to robi w Ameryce. Każdy z was zostawi list, w którym napisze, że sam sobie dobrowolnie życie odbiera. W ten sposób pozostający nie będzie miał nieprzyjemności z policyą. Oto dwie, zupełnie do siebie podobne szklanki. Napełnię je piwem.

Młodzi ludzie z zajęciem Karola słuchali. Tymczasem pan docent tak dalej mówił:

— Widzicie ten stół na którym poustawiane rzędami słoiki?... Niejeden z nich straszną truciznę zawiera. Do jednéj z dwóch szklanek nasypię trucizny, nakryję je chustką, pociągniecie za węzełki. Kto wyciągnie węzełek, ten pierwszy sięgnie po szklankę i wychyli ją do dna. Rozumiecie mnie moi drodzy?... Oto pojedynek który ludziom odważnym przystoi. Pistolety, szable i szpady — to broń tchórzów, bo zawsze pozostaje prawdopodobieństwo uniknienia nietylko śmierci, ale nawet skaleczenia. Tu śmierć niechybna.

Biedni chłopcy dosyć niespokojnie na Karola spoglądali. Projekt jego niezbyt im do smaku przypadał. Nie śmieli jednak powstać przeciw zaleconemu przez niego pojedynkowi w obawie aby się nie okazali tchórzami. Karol zamilkł i spojrzał na nich badawczo.

— Przystajecie? zapytał po chwili.

Nie otrzymał z razu odpowiedzi.

— Jesteśmy w Europie, bijmy się więc po europejsku, — rzekł w końcu Henryk.

— Może się lepiéj od razu pogodzić, — odparł Karol tonem pogardy.

*) Egzekwije żałobne.



Lech.



Krakus.

PORTRETY
Książąt i Królów Polskich
w całych postaciach podług pomysłu
WALEREGO ELJASZA.

Jeżeli narody potężne i szczęśliwe starają się wszelkiemi siłami o rozszerzenie znajomości historyi krajowej, to tym więcéj narody gnębione wszelkich sił dokładać powinny, aby dzieje ojczyste mianowicie ludowi i młodzieży znane były. „I prostaczek choć pacierz dziejów narodowych znać powinien,“ mówi Libelt.

Dzielnym środkiem popularozywania historyi ojczystéj są illustracye. Na nieszczęście dotąd posiadamy małą liczbę dobrych i tanich książek, któreby naszą przeszłość piórem i rylcem przedstawiały. Za szczęśliwą tedy myśl uważamy pomysł Wal. Eljasza z Krakowa, który postanowił narysować wszystkich książąt i królów polskich w całych postaciach. Mamy wprawdzie portrety naszych monarchów, wykonane przez Lessera, lecz te wyobrażają królów tylko w niecałych figurach, a i tak pozostawiają wiele do życzenia. Portrety w całéj postaci są więcéj wyraziste i lepiéj się w umysł patrzących wdrażają. Podajemy dziś na początek dwa rysunki Lecha i Krakusa, a następnie chcemy w téj saméj wielkości podać wszystkich następnych królów polskich.

— Bierzesz mnie za tchórza, Karolu? — żywo zawołał Henryk, ocierając czoło, na które wystąpiły krople zimnego potu. — Przystaję na amerykański pojedynek.

— I ja się nań zgadzam, — mruknął Piotruś ze smutnie spuszczoną głową.

— Dobrze! Widzę że jesteście obaj tęgimi chłopcami. Im prędzéj tém lepiéj. Zaraz do pojedynku przystąpimy. Zostawiam wam godzinę czasu na napisanie waszych listów..

— Godzinę? — To mało — odparli chłopcy.

— Czy się chcecie uściskać? — szydersko zapytał Karol. — Ściskajcie się.

— Nie? nie.. nie...

— A więc za godzinę... Tymczasem przyrządzę truciznę. — I Karol odszedł do swego laboratoryum. —

Młodzi ludzie zpodełba na siebie spojrzeli. Żaden nie był dalekim od tego aby się pogodzić, ale żaden nie chciał zrobić pierwszego kroku, nie chciał się upokorzyć. Patrzeli na siebie, ale już w ich wejrzeniach złości nie było można dopatrzeć, zdradzały one pewne wzruszenie, niepokój, trwogę. Chwilowy gniew dawno ustąpił, teraz im się wcale umierać nie chciało. Póki ich Karol chciał godzić, póty słyszeć o pojednaniu nie chcieli, zdawało im się że się okażą tchórzami, a przytem w rozdrażnieniu miło jest zawsze być sprzecznego zdania z osobą zupełnie spokojną, przybierającą na siebie rolę nauczyciela, mentora. Dawno jednak rozdrażnienie u obu zapaśników minęło. Każdy w duchu poczynał już przyznawać, że nie warto jest dla jakiejś nieznanéj aktórki życie sobie odbierać, że pojedynek w ogóle jest zupełnie głupim wynalazkiem, a pojedynek amerykański, który im tak stanowczo zalecił i narzucił Karol, jest „głupstwem głupstw.“

Zostawało im więc serdecznie się uściskać.

Ale zacząć... żaden się nie mógł na to zdobyć.

W myśli ich świtała nadzieja, ale słaba, blada.. Karol.. Karol może nie dopuści ich do tego, aby sobie życie odbierali.. Karol ich kocha, on pewnie ich pogodzi tak aby miłość własna żadnego z nich na tem nie ucierpiała... Słaba to jednak była nadzieja. Karol bardzo poważnie mówił o pojedynku, o zgodzie zaś wspomniał parę razy, ale tak ironicznie, tak szydersko... Głupia rzecz te pojedynki!... Trucizna!... Brrr!....

I zapomniawszy o tem że czas mijał, siedzieli obaj pogrążeni w gorzkich dumaniach.

Pierwszy się ocknął Piotruś.

— Która godzina? — zapytał Henryka. Był zdania, że nawet przed samym pojedynkiem zapaśnicy mają prawo z sobą rozmawiać.

Henryk spojrzał na zegarek i rzekł czułym tonem:

— Kwadrans na dwunastą. Mamy jeszcze trzy kwadranse.

Piotruś westchnął.

— O północy rozstrzygną się nasze losy, — szepnął nie mniéj czułym od Henryka tonem.

— Tak, o północy... Trzeba pomyśleć o listach. — Henryk wstał z krzesła, Piotruś poszedł za jego przykładem. Razem przy drzwiach wspólnie zamieszkiwanego pokoju stanęli.

Proszę Pana, — rzekł Piotruś ustępując kroku Henrykowi. Zapaśnicy bowiem mogli rozmawiać, a nadto winni byli się popisywać z wyszukaną grzecznością. Henryk, który miał równie rycerskie wyobrażenia jak i kolega, nie chciał mu się dać uprzedzić w grzeczności. Rozpoczęły się długie ceremonie przed drzwiami. W końcu obaj nie bez trudności razem się przez drzwi do pokoju wcisnęli, poczem każdy zajął się pisaniem listów do bliższych osób z rodziny.

Miasto N. oddawna już spało. Najmniejszy szelest na ulicy wydawał się hałasem wpośród panującéj ciszy. Zrzadka słychać było kroki jakiegoś przechodnia spieszącego do domu, a dzwony miejskich zegarów ponurem jęczeniem przypominały młodym studentom, że czas leciał za prędko niestety. Kwadranse biły po kwadransach, wybiła północ...

— Już czas... — rzekł drżącym głosem Henryś, powstając od stołu. — Północ! — i spojrzał na kolegę, zapłakanemi oczami.

Piotruś jeszcze pisał. List jego wyglądał jakby marmurowy, tak okryty był prążkami atramentu w obfitych łzach rozpuszczonego.

Posłyszeli lekkie do drzwi pukanie. Po chwili stanął w nich Karol z dwoma pełnemi szklankami piwa.

Jestem gotów, — rzekł uroczyście.

— I ja... — smutnie odparł Henryk.

— Ja także, — szepnął Piotruś wkładając list do koperty.

Póki czas jeszcze, — rzekł Karol, — obowiązkiem jest moim zapytać was czy się pogodzić nie chcecie!... Wszystko do pojedynku przygotowanę, ale od was zależy... To tak łatwo przeprosić.. jeszcze łatwiéj przebaczyć...

Młodzi ludzie spojrzeli na siebie. W oczach im się łzy kręciły... długo na siebie patrzeli, ale żaden nie chciał zrobić pierwszego kroku...

Upłynęło kilka minut.

— Widzę że wolicie się pojedynkować, — powiedział Karol stawiając szklanki na stole. - Oto broń, broń straszniejsza od pałaszów i pistoletów... Jedna z tych szklanek zatruta. —

— Czy śmierć od razu nastąpi po wypróżnieniu trucizny? — zapytał Piotruś.

— Po godzinie męczarni. To bardzo gwałtowna trucizna, gdy się jéj w wielkiéj dozie zażyje. Tyle jéj nasypałem ile potrzeba aby po jéj wypiciu jeden z was miał jeszcze trochę czasu na ostatnie zlecenia, a potem... Karol uroczyście ręką machnął.

O! Jakże drżeli zapaśnicy!... Gdyby Karola w pokoju nie było, byliby się sobie w objęcia pewnie rzucili, ale przy nim, nigdy się na to zdecydować nie mogli.

Tymczasem pan docent szklanki nakrył ciemną zasłoną, i zawiązawszy węzełek u chustki, wystawił dwa jéj końce i rzekł:

— Młodszy zaczyna! kto wyciągnie węzełek, ten pierwszy szklankę bierze. Piotrusiu ty zaczynasz.

Po chwili Henryk wyciągał węzełek. Chwiejnym krokiem zbliżył się do stołu i rękę pod zasłonę wsunąwszy, schwycił szklankę i podniósł ją do góry.

— Pij! — rzekł Karol, a głos jego brzmiał dziwnie złowrogo. — Henryk, zamknąwszy oczy wychylił szklankę do dna.

— Piotrusiu.. Na ciebie koléj.

Piotruś podniósł szklankę do góry. Trzeba było pokazać się odważnym, mężnym, wesołym nawet w téj ostatniéj chwili.

— Zdrowie panny Z. najpiękniejszéj ze wszystkich kobiet pod słońcem, — zawołał, i odwróciwszy się duszkiem szklankę wychylił. Ktoby był patrzał na niego w téj chwili, mógłby zobaczyć że mimo odwagi i wesołości, ocierał strumienie łez, które mu z oczu spływały.

Karol ciekawie na nich spoglądał. Mimo uroczystéj sceny, która się przed nim odgrywała, można było dojrzeć niemiły, szyderski uśmiech, który się od czasu do czasu na jego ustach pojawiał. Zapaśnicy nie mogli bez oburzenia widzieć Karola tak spokojnego a nawet uśmiechniętego wtedy, gdy przy nim jeden człowiek miał wkrótce umrzeć.

Henryk słowa nie mówiąc poszedł na drugi koniec pokoju i tam usiadłszy w fotelu twarz schował w dłoniach.

— Co ci jest, Henrysiu? zapytał Karol.

— Niedobrze mi, — odparł słabym głosem zagadniony. Piotruś podbiegł do niego

— Za godzinę już się męczyć nie będziesz, — rzekł Karol, i wziąwszy jakąś gazetę ze stołu, począł w niéj pilnie szukać jakiegoś artykułu.

Piotruś z przerażeniem patrzał na jego zimną krew i na obojętność, z jaką patrzał na otaczającą go scenę.

— Ten człowiek nie ma serca, — pomyślał.

— O! Jakże mi nie dobrze, — jęknął Henryś.

— Czy bardzo cierpisz? — zapytał go kolega z współczuciem.

— Cierpię... Czuję że w krótce już umrę... te papiery... tobie je powierzam, Piotrusiu...

Piotruś nie mógł dłużéj powstrzymać swojego wzruszenia. Wybuchnął serdecznym płaczem i zawołał, obejmując Henryka rękami...

— O! Ja nieszczęśliwy... Byłbym wolał sam być na twojém miejscu zamiast patrzeć na to, jak się ty męczysz z mojéj winy. Ja tę głupią kłótnię wszcząłem, ja ciebie każdém słowem starałem się drażnić. Jakże żałuję teraz.. nie ma rzeczy, którejbym nie poświęcił, abym mógł moje słowa i ich skutki odwołać.. Za późno!.. Niestety za późno już teraz... Czy ty mnie przebaczysz Henrysiu?...

— Żadnego nie mam żalu do ciebie, — odparł słabym głosem zagadniony. — Oboje równośmy zawinili. Ja, który wkrótce już umrę, nim się na śmierć przygotuję, chcę się z tobą pojednać, chcę ciebie przeprosić za moje słowa, któremi cię mogłem urazić. - Weź te listy.. Tam, między niemi jest jeden dla ciebie... W nim ciebie przepraszam...

— O! Jakiś ty dobry Henrysiu, że mi przebaczasz... Ja sobie jednak nigdy nie daruję, żem był powodem kłótni, która się w sposób tak bolesny miała zakończyć... I ja, w przewidywaniu śmierci list napisałem do ciebie.. Tam znajdziesz powtórzone moje słowa... Teraz mnie czeka życie pełne wyrzutów, bo sobie nigdy nie przebaczę twojéj śmierci... O! Henrysiu, Henrysiu!... — I Piotruś szlochając upadł na kolana przed umierającym kolegą.

Karol nie przestawał czytać gazety, ale gdyby kto był spojrzał na twarz jego w téj chwili, mógłby w niéj dostrzedz łzy, które mu obficie z oczu spływały.

— Poczciwe chłopcy! — myślał słuchając rozmowy zapaśników. — O! czemuż nie chcieli się przed pojedynkiem pojednać.

Nagle Piotruś się zerwał na równe nogi, spojrzał na Karola i podbiegłszy do niego wyrwał mu z ręki gazetę. Spostrzegł, że oczy pana docenta od łez się świeciły.

— Ach! Masz serce jak widzę, — zawołał gwałtownie. — Ty go jeszcze możesz wyratować. Ty go wyratować musisz, skoro ja wróg jego przed chwilą, ciebie oto błagam. Masz pewnie jaki środek przeciwko truciznie...

— Za późno, — rzekł smutnie Karol.

— Ratuj go, Karolu, — jęknął Piotruś padając na kolana — Odwołuję wszystko com powiedział, upierałem się bez żadnego przekonania... Henrysiu?... Panna X. daleko piękniejsza!... Ratuj go Karolu.

— Za późno, - rzekł Karol. — Namawiałem was do zgody, nie chcieliście mnie słuchać. Dla głupstwa niczem było w waszych oczach życie narażać. Nie chcieliście mnie słuchać, teraz już złego naprawić nie można.

Piotruś rwał sobie włosy na głowie.

— Czyż nie ma *antidotum?* — zapytał rozpaczliwym tonem.

— Nie ma niestety... Wsypałem bardzo mądrą mięszaninę do szklanki... Głównym jéj jednak czynnikiem jest...

— Jest?... — zapytał Piotruś, który w myśli przebiegał wszystkie wykłady chemii, na które w szkołach uczęszczał.

— Sól glauberska, — wycedził Karol.

* * *

Odtąd pan docent zakosztował spokoju i ciszy, a gdy tylko najmniejszy spór wszczynał się między powierzonymi jego opiece studentami, wymawiał tylko dwa słowa:

„Sól glauberska.“

Drezno, 31 Grudnia 1878.

Pamiętnik
Rajmunda Bronikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Przybywszy do Bydgoszczy, wysłał nas dwóch Alexandra Bnińskiego i mnie naprzód do Poznania z oznajmieniem o swojém przybyciu. Przybywszy do Rogoźna, zastaliśmy mnóstwo zebranych fur do przewozu wojska, gdyż ogłoszono, że Gł. Dąbrowski w 3000 wojska maszeruje pod Poznań, które przez te fury miało być transportowane. Tymczasem nas tylko było siedm osób w ogóle z Generałem, którzyśmy jechali. — Z Rogoźna Bniński dla przyspieszenia chciał konno jechać, ja z mojéj strony nie chciałem przystać na tę propozycyą; lecz Bniński opierał się na swém zdaniu, jako starszemu w randze, nie śmiałem przeczyć; on wsiadł na konia i wyjechał naprzód a ja podwodą puściłem się za nim; wyjechawszy za miasto, spostrzegłem upadającego na koniu, który z miéjsca ruszyć nie chciał, poznałem, że to Bniński, któremu koń iść nie chciał, kazałem stanąć, wsiedliśmy razem i ruszyliśmy w dalszą drogę. — Przyjechawszy pod Poznań zoczyliśmy z daleka oddział składający się z kilku żołnierzy, który stał na placówce pod wsią Główną niedaleko Poznania. Najwięcéj to nas zastanowiło, że takie mieli płaszcze jak Austryacy, byliśmy pewni, że to oddział nieprzyjacielski. Bniński chciał już wysiadać i szukać łódki, aby przez rzekę Wartę na drugą stronę rzeki dostać się. Ja uczyniłem mu tę uwagę, że generał kazał nam na samo miejsce dotrzeć i dla tego dwóch nas posłał, trzeba więc żeby sie jeden ryzykował i uczyniłem mu propozycyą, iż będąc małego wzrostu prędzéj może się ukryć nad brzegami rzeki niż ja, a ja dotrę na miejsce pomnąc na rozkaz generała. Lecz nie chciał mnie opuścić i ruszyliśmy razem naprzód w tém przekonaniu, że austryacki oddział widzimy. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie się ten oddział znajdował, już zaczęliśmy go mijać, i zdziwiło nas to, że żołnierz stojący na warcie, wcale o nic nas nie zapytał. Kazaliśmy stanąć a Bniński zeskoczył z woza i zapytał żołnierza: co to za warta? Odebrał odpowiedź, że to z miasta Poznania, a gdzie podoficer? w izbie, w gościńcu się znajduje. Poszedł na miejsce i zastał żołnierzy i podoficera od warty śpiących czyli pijanych. To działo się we wsi Głównie pod Poznaniem i tak zakończyła się nasza obawa. Dojechawszy szczęśliwie do Poznania na koniach, zastaliśmy całe zgromadzenie: Wojewodę Wybickiego, generała Amilkara Kosińskiego, Józefa Ponińskiego i wiele innych znaczniéjszych osób. Po zdaniu raportu udaliśmy się na kwatery; wtem w nocy około godziny dwunastéj puka ktoś do mojéj kwatery z doniesieniem, że generał przyjechał i kazał mnie zawołać. Pospieszyłem czemprędzéj i zdałem mu raport o wszystkiem; generał przez Oborniki przyjechał do Poznania. Nazajutrz już cały sztab generała się znalazł i mnóstwo przyłączyło się do sztabu.

Tymczasowymi organizatorami byli, wojewoda Wybicki, Generał Kosiński, Prefekt Poniński z radą prefekturalną, lecz cała organizacya szła leniwym krokiem, że ani jednego pułku nie uformowano. Organizacya pod dyrekcyą generała Dąbrowskiego spiesznięjszym poszła trybem, bo w przeciągu czterech tygodni dwa regimenta piechoty uformowane zostały, tj. 14 pułk pod dowództwem pułkownika Kaspra Miaskowskiego, pułk 15 piechoty p. d. pułkownika Jakóba Kęszyckiego i je-

pen pułk ułanów pod dowództwem pułkownika Przyzychowskiego Nr. 9 kawaleryi. Generał Dąbrowski ściągnął wszyststkich rezerwowych żołnierzy i tych żołnierzy, którzy w wojsku pruskiem służyli i popowracali po batalii pod Jeną, a przez to organizacya wojska spiesznięj poszła. Ja zostałem w sztabie z nominacyą porucznika.

Po uformowaniu pułku wyruszyliśmy w marsz naprzeciw nieprzyjacielowi, który cofał się ku Piotrkowu. — Z marszu wysłany zostałem do generała Kosińskiego do Kruświcy, ten wysłał mnie do Torunia do generała Wojczyńskiego, przybyłem w ten czas, gdy Austryacy odparci zostali od oblężenia Torunia przez wojsko polskie tam będące, pułki 10 piechoty i pułk 11 pułkownika Stanisława hr. Mielżyńskiego.

Ponieważ pod Toruniem most na Wiśle był zebrany, musiałem się przeprawić przez Wisłę z *Kępy* w nocy łódką i tak dostać się do miasta. Kapitan od piechoty 10 pułku Kosowski przewiózł mnie oddawszy expedycyą generałowi Wojczyńskiemu, który sześć armat zaraz wysłał do generała Dąbrowskiego. Szczególniejsze mnie zdarzenie w Toruniu spotkało. Po oddaniu expedycyi generał Wojczyński zapytał mnie, czy mi nię wiadomo, że się znajdują w Toruniu konie dla adjutanta generała Dąbrowskiego, Bronikowskiego, i rozkazał, aby mi wskazano, gdzie się te konie znajdują. Właśnie był to człowiek od mego brata Romana przysłany z parą wierzchowemi końmi dla mnie, bardzom się z téj niespodzianki ucieszył, bo w batalii pod Raszynem miałem konia rannego, który na drugi dzień po bitwie padł nieżywy i byłem znaglonym kupić drugiego, którego od wojewodzica Nepomucena Bilińskiego nabyłem; była to klacz kara, za 50 dukatów w złocie kupiona. Tak opatrzony w wierzchowe konie, wróciłem do generała Dąbrowskiego, którego dopiero pod Łowiczem dojechałem; tam wyznaczony zostałem do sądu wojennego, na żołnierza, który z posterunku uciekł. Został osądzony na rozstrzelanie; to zdarzenie było dla mnie przykrem niezmiernie, iż byłem jednym z tych, którzy wyrok śmierci podpisali. Póżniéj zostałem komendantem w mieście Kutnie gdzie przez pobyt generała z głównym sztabem pozostawałem; miałem tam dłuższy czas pozostać; lecz wyprosiłem się u generała i zostawszy zwolnionym z tego urzędu, poszedłem razem z generałem w marsz ku Radomiu, gdzie z Xięciem Józefem powracającym od dobycia Zamościa, obydwa te korpusy złączyły się. Przybyli téż oficerowie francuscy od głównéj armii Napoleona cesarza i nie mogli się dosyć wydziwić nowo uformowanym pułkom przez generała Dąbrowskiego z Poznańskiego przyprowadzonym, nawet wierzyć nie chcieli, że to były sformowane pułki. Z Radomia rozdzieliły się te dwa korpusy na dwie części, generał Dąbrowski ku Piotrkowu, Xiąże Józef w drugą podążył stronę a obydwa te korpusy maszerowały w kierunku ku Krakowu, gromiąc nieprzyjaciela; pod Rawą było małe spotkanie i pod Żarnowcem aż do Krakowa weśliśmy, gdzie Xiąże razem z nami się zeszedł; w Krakowie staliśmy długi czas. — Z Krakowa zostałem wysłany do Poznania przez Częstochowę, gdzie do pułkownika Szymanowskiego komendanta fortecy miałem expedycye. Wróciwszy z Poznania miałem wstąpić do pułku kirasyerów, których wpierw miał formować Umiński, póżniéj Małachowski z Końskich, lecz Generał Dąbrowski zatrzymał mnie w swoim sztabie i wtenczas dostałem nominacyą na kapitana.

(Ciąg dalszy nastąpi)

PRZECZUCIE.

Ciągnie burza, szumią drzewa,
Tuman kurzu pędzi z pól;
A me oko łza zalewa,
W sercu srogi ból.

Pusto w chacie, pies u proga
Podniósł głowę, zaczął wyć;
Duszę mą przeraża trwoga,
O, jak smutno saméj być!

Księżyc blady z po za chmury
Oknem drżący rzuca blask;
Słyszę wichru świst ponury
I puszczyków nocnych wrzask.

Dziécię przytulam do łona,
Ono senne kwili wciąż,
A ja biedna opuszczona,
I ytam gdzie on, gdzie mój mąż?

Zegar północ bije z wieży,
Ranny się odzywa ptak;
Słyszę tętent, to koń bieży,
Przez stepowy pędzi szlak.

Stanął, wrota zadzwoniły,
Ktoś stąpa........ to jego krok;
To on, to on, mąż mój miły,
Lecz go oczom kryje zmrok.

Dziécię krzykło przerażone,
Pies się do mych czołga nóg;
Oczy obracam w tę stronę
Drgnęła klamka, gnie się próg.

Czekam, próżno, nikt nie wchodzi,
Tylko w koło wionął chłód;
Ach, czyliż przeczucie zwodzi?
Już na niebie widzę wschód.... .

Słońce błysło, śladu niéma
Żeby nocą tu kto był;
Próżno szukam go oczyma.... ..
On się duszy tylko śnił!

Koń zarżał, przeskoczył wrota,
Z zakrwawionem siodłem wbiegł;
Ach, jam wdowa, syn sierota,
Mąż mój, mąż mój w boju legł.

Ag...... Ba........

ŁAMIGŁÓWKI.

1.

Czy tak,
Czy wspak,
Tak samo mię czytaj.
W twém żem się odbiło
I wyraziło.
Bezemnie jakże człowiek nieszczęśliwy!
Przezemnie wszystkie świata dziwy
Tobie się odsłaniają,
Do myślenia pobudzają.
Do serca wglądasz przezemnie
Bo serce odbija się we mnie.
Kto ja jestem? lustra pytaj.
W niem mię widzisz, i w niem żądasz,
Bym ci rzekło, jak wyglądasz.

2.

Pierwsze u Niemców przy każdéj słyszysz mowie,
A i nasz chłopek często to wypowie,
Gdy z miną butną od wojska wraca.
Wiele tego, co wtóre trzecie oznacza,
Jest na śpichrzu, młynie, i u kupca bogacza.
Pierwszy trzeci siew czas już siać, oj czas:
Dobry rólnik, co go sieje z pierwszą wiosną wraz.
Zdobne, piękne okolice, gdzie je Bóg osadził,
Lecz w podróży lżéj ci będzie, gdyś je już przesadził.
Wszystkiego jakżeż mało lasy nasze mają!
Dziś po ogrodach chyba je sadzają.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.